№ 32. ROK III.

TYDZIEŃ.

„Tydzień" wychodzi w każdą niedzielę z dodatkami w razie potrzeby we wtorek i w piątek.
Pojedyńczy numer kosztuje 7½ kop.
Cena ogłoszeń od wiérsza lub za jego miejsce po kop. 5, za następne po 4, 3 i 2 kop. w miarę ilości powtórzeń.
Ogłoszenia przyjmują się w redakcyi i w księgarni L. Chodźki; w **Warszawie** w kan. Wieniarskiego—róg Nowego-światu i Ordynackiéj.

PETROKOW dnia 7 (19) września 1875 r.

Adres redakcyi: - Antoni Porębski—w Petrokowie przy drodze Żel. Warsz.-Wiedeńskiéj w domu W-go Brendla.

Cena kwartalna:
w Petrokowie w księgarni L. Chodźki kop. **75**
w Warszawie w księgarni i kantorze pism peryjodycznych Maurycego Orgelbranda naprzeciw statuy Kopernika—z przesyłką pocztową rs. **1** kop **10.**
Prenumerować można nadto we wszystkich księgarniach krajowych.

21 W.	Mateusza Ap. i Ewang. . . .	W5—45	Z.6—1	Długość dnia god. 12 min. 16.	24 P.	*N. M. P od wykupu niewolnik.*	W5—50	Z.5—54	Długość dnia g. 12 m. 4.
22 S.	Maurycego M.	5—46	5—58	Ostatnia kwadra księżyca.	25 S.	Aurelii P. i Kleofasa B. . .	5—51	5—51	
23 C.	Tekli Panny M.	5—48	5—56	Dnia ubyło god. 4 m. 35.	26 N.	*19 po Św. Ładysława z Giel*	5—53	5—79	Dnia ubyło g. 4 m. 47.

Treść: — Karol Beithel — wspomnienie pośmiertne. — Wiadomości miejscowe i z okolic. — Korespondencyje Tygodnia: Z Częstochowy przez ?. — Ogłoszenia.—
Odcinek. Kronika miejscowa przez G.—Kwiat Paproci przez Al. M. Jawornickiego (ciąg dalszy).

KAROL BEITHEL.

Trzynastego b. m. i r. na cmentarzu tutejszym świéża przybyła mogiła. Rzecz napozór codzienna prawie i powszednia. Otoczenie wszakże trumny, kryjącéj zwłoki świéżo zmarłégo wskazywało, że niezwykłym chyba, utartym jak inni szlakiem dobiedz on musiał do wspólnego kresu; że na niwie swego życia tak zdrowe musiał rzucać ziarna iż te obfity plon spółecznemu żniwu przyniosły; że to zapewne pracownik, który tak trwałych dobierał materyjałów i na tak silnéj podstawie wznosił budowę pracy swojéj, jaka mu w udziale przypadła, że nie zdołał wzruszyć jéj i uszkodzić *ani bieg czasu, ani szkodliwych wpływów powiewy.*

W trumnie téj spoczywały zwłoki ś. p. Karola Beithla, zmarłego w mieście naszém w d. 9 b. m. i r. Urodzony w r. 1800 w miasteczku Sulejowie nad Pilicą z zacnych rodziców, od nich przejął piérwsze zasady cnót chrześcijańskich i zamiłowanie do pracy. W sąsiedniém opactwie ks.ks. cystersów, w utrzymywanéj przez nich szkole pobiérał początkowe nauki, a przeniósłszy się następnie do szkoły wojewódzkiéj w Kielcach, ukończył ją chlubnie w r. 1819 pod kierunkiem znanego z zasług ks. rektora Polejowskiego, dla którego też żywą do skonu zachował wdzięczność. Wiedziony żądzą nauki, pomimo że póżniéj dopiéro przyznane miał stypendyjum, udał się do uniwersytetu warszawskiego, na którym po ukończeniu studyjów stopień magistra nauk matematycznych uzyskał. Po wyjściu z uniwersytetu poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu, i w r. 1821 mianowany został nauczycielem języka polskiego i matematyki przy gimnazyjum wojewódzkiém w Kielcach. Tam obowiązki swe pełnił gorliwie do r. 1840, w którym przeniesiony został do Łukowa, a po rocznym tylko pobycie przy tamecznéj szkole odebrał przeznaczenie na inspektora bialskiéj powiatowéj szkoły. Po pięcioletniém nią kierowaniu powołany był w r. 1846 na inspektora szkoły wyższéj realnéj w Kaliszu,—w d. zaś 18 marca 1854 r. przeznaczony został na dyrektora tutejszego gimnazyjum, i na tém stanowisku pozostawał lat osiem t. j. do roku 1862, w którym, wysłużywszy w zawodzie pedagogicznym lat 35 podał się do emerytury, i po otrzymaniu jéj nieopuszczał już miejsca ostatniéj swéj publicznéj działalności—i stale w mieście naszém przemieszkiwał, nie zaniedbując i w téj epoce nieść pomocy naukowéj zgłaszającéj się po nią młodzieży.

Wzorowe pełnienie obowiązków, przez cały ciąg długoletniéj służby w zawodzie pedagogicznym zawsze zwracało na siebie uwagę władz zwierzchnich i zyskiwało ich uznanie, objawiane dawaniem coraz wyższych stopni urzędowych, zaszczytnych znaków i nagród Najwyższych: jakoż ś p. Karol Beithel opuścił służbę w randze radcy stanu i ozdobiony był orderem ś. Stanisława kl. II *i znakami nieskazitelnéj służby* za lat XX i XXXV.

Skréśliwszy powyżéj koleje publicznego zawodu ś. p. Karola Beithla, dla usprawiedliwienia słów naszych, że droga jego życia nie była utartym szlakiem, jakim kierują się tysiące podobnych sobie niewykraczających po za mierność jednostek, najwłaściwiéj będzie, gdy przytoczymy wyrazy jednego z jégo uczniów, który ocenę doniosłości moralnego wpływu na młodzież nieodżałowanego nauczyciela i zwierzchnika w następującym zawarł zarysie:

„Ś. p. Karol Beithel, urodzony na złomie wewnętrznego *przetworzenia* się pojęć w kraju, owiany i wykarmiony wzorami cnót, zapału i poświęcenia piérwszéj ćwierci bieżącego stulecia, był doskonałym typem człowieka kierującego się mądrością bożą. *Jako nauczyciel*—był to wzór wychowawcy, obdarzonego przy miłym, jednającym zaufanie głosie i szlachetném pogodném obliczu i wejrzeniu, wysokim talentem jasnego i przystępnego wykładu, obok zaś szczérego zamiłowania udzielanych nauk, bezmierną ojcowską miłością dla uczących się.

Szkoły też nieuważał nigdy jako zakładu służącego wyłącznie do wyuczania się przedmiotów objętych programem, lecz zarazem jako i instytucyją wychowawczą, przeznaczoną do rozwinięcia wszystkich moralnych przymiotów młodzieży. Niezmordowany na tém polu pracownik badał każde chłopię przewodnictwu jego powierzone, szukał w niém cech moralnéj istoty, potęgował je lub budził uśpione. Rozwinięcie umysłu i udoskonalenie moralne i estetyczne młodzieńca-człowieka—oto cel, jaki sobie i współkolegom zakreślał w prowadzeniu, nauczaniu i wychowywaniu młodych pokoleń. Znać młodzież tylko w szkole i tam nią kierować nie wystarczało dla ożywionego powyższą zasadą. Dla tego też ś. p. Karol Beithel cały czas swój wolny od obowiązków służbowych, poświęcał młodzieży po za szkołą. Zwiedzał więc mieszkania uczniów, i podczas tychto odwiedzin właśnie najsilniéj zawiązywał się ów węzeł przywiązania i wdzięczności, gruntowało się to nieograniczone zaufanie, jakie w nim uczniowie pokładali. Nic wówczas bowiem nie uszło jego pilnego ojcowskiego oka; od zewnętrznych warunków czystości i porządku w mieszkaniu i odzieży, do umysłowego uzdolnienia w zrozumieniu zadanych lekcyj—wszystko było przedmiotem czujnéj zacnego zwierzchnika baczności. Zdarzało się, że niejeden wtedy wyspowiadał się szczérze z dopuszczonego przewinienia i ojcowskie, miłością nacechowane napomnienie usłyszał, jak równie i nieraz bywało, że spotkawszy nie rozumiejących lub niemogących sobie poradzić z zadanymi ustępami uczniów, póty ich nie opuszczał, pokąd w przystępnym wykładzie należycie rzeczy nie objaśnił i o zrozumieniu zadania się nie przekonał."

Nie ograniczał się wszakże ś. p. przezacny dyrektor na ojcowskiém czuwaniu nad charakterami wychowańców swoich i niesieniu im pomocy, owszem jako sumienny przybrany opiekun, nie zapominał i o materyjalnych potrzebach młodzieży—troskał się o nie, i o ile tylko mógł, zapobiegał im i zaspakajał—potajemnie nieraz, unikając rozgłosu i podzięki. Z jaką zaś istnie rodzicielską słodyczą i wysoko delikatném uczuciem umiał udzielać wsparcie i biedz z pomocą, nie ośmielamy się nawet próbować, by w zazimnych na to wyrazach, szkicować obraz tak szczytnie chrześcijański i prawdziwie ludzkie zastósowanie cnoty miłosierdzia.

Tak to, jak widzimy, w każdym kierunku, przez cały długoletni żywot ś. p. Karola Beithla, powstawały i umacniały się węzły wzajemnych stósunków, na ojcowskiéj miłości i synowskim szacunku oparte, pomiędzy uwielbianym zwierzchnikiem i licznym zastępem uczniów i wychowańców. W tych też przykładnych stósunkach, w tych węzłach, których ani rozdział przestrzenią, ani wspomnienia zacierający bieg czasu, rozerwać ani osłabić nie zdołał, szukać winniśmy rozwiązania pytań — jakim człowiekiem był ś. p. Karol Beithel—jak pojmował i spełniał swe obowiązki?

Nie dziw też, że przypadła mu w udziale najwyższa ziemska nagroda — głęboki powszechny szacunek, serdeczna miłość i przywiązanie, i niewygasająca wdzięczność współziomków.

Kiedyś przed kilkunastu laty, żegnając swą ukochaną córę-szkołę, w zamknięciu swego przemówienia wyraził był ś. p. zmarły prośbę, aby mu przebaczono, jeżeli w zawodzie swym niezbyt surowo postępował, co może za grzéch poczytać mu kto zechce—bo zawsze przedewszystkiém kierował się miłością dla uczniów przybranych dzieci—jak ich nazywał.

Dziś po upływie lat tylu, gdy wieść o skonie ukochanego nauczyciela i zwierzchnika po kraju się rozbiegła, wdzięczne owe „dzieci" dziś sami już mężowie i ojcowie rodzin, ze wszystkich stron się zbiegły — by otoczyć wieńcem wdzięczności trumnę zawiérającą drogie im zwłoki.

Przy wyprowadzeniu do kościoła w d. 12

b. m. przewodniczył duchowieństwu Jego Ekscelencyja ks. biskup Kuliński — a nazajutrz żałobnemu pochodowi na cmentarz ks. kanonik Wnorowski, który zarazem wymownóm przemówieniem nad grobem pożegnał zwłoki ś. p. Karola:— po nabożeństwie zaś w kościele farnym ks. Al. Sałaciński, także uczeń ś. p. zmarłego, podobnie jak i dwaj wymienieni dostojnicy kościoła, tylko z innéj epoki— rzewnémi słowy uprzytomnił słuchaczom żywot i zasługi drogiego sercom i pamięci wszystkich uczniów dyrektora.

Tłumny orzak pogrzebowy odprowadził zwłoki na miejsce ostatniego spoczynku, niesione na ramionach kolegów i wychowańców ś. p. zmarłego, których się zebrał zewsząd poczet niemały (*) — poprzedzony przez uczniów wszystkich miejscowych zakładów naukowych rządowych i prywatnych,—i liczne duchowieństwo, bezinteresownie oddające ostatnią posługę szczątkom zacnego człowieka.

W powyższém wspomnieniu pośmiertném ograniczyliśmy się tylko na ogólnych zarysach ludzkiéj działalności ś. p. Karola Beithla w zakresie pedagogicznym, pewni, że świadomsza szczegółów pożytecznego jego żywota ręka, nie zaniedba skreślić życiorysu, wyczerpującego w pełnym rozmiarze całą sferę czynów nieodżałowanego zmarłego. Obok téj nadziei, spodziéwamy się także, że wdzięczni uczniowie ś. p. Karola Beithla wzniosą nad grobem jego pomnik nadgrobny, jako dowód ujęcia w widome kształty tego synowskiego żalu i wdzięcznéj czci, które przejmują ich serca i nigdy w nich wygarnąć nie powinny.

(*) Niemogący przybyć osobiście ponadsyłali telegramy z wyrazami żalu i słowy pociechy i współczucia dla pozostałéj po zmarłym rodziny. Tak z Kalisza nadesłało telegram 24 kolegów i uczniów ś. p. Beithla na ręce p. J. Strahlera sędziego—inni z Warszawy na ręce nauczyciela gimnazyjum p. W. Gajewskiego i t. p.

WIADOMOŚCI MIEJSCOWE I Z OKOLIC.

— Szczegóły pobytu Jego Ekscelencyi ks. biskupa Kulińskiego w Gomulinie i opis dopełnionéj tamże konsekracyi nowo-wzniesionego kościoła, odebrawszy zbyt późno, zmuszeni jesteśmy odłożyć do przyszłego „Tygodnia.“

LOTERYJA fantowa na rzecz zakładów dobroczynnych tutejszych, rozpoczęta w dniu 12 b. m., w dalszym ciągu odbywała się w dniu 16 b. m. w ogrodzie po-bernardyńskim, przy mniejszym, jak to innych lat bywało, współudziale publiczności— mimo że dobór fantów i gustowne zewnętrzne urządzenie i dźwięki muzyki przemawiały za powodzeniem tego środka zyskania pomocy ogółu dla potrzebujących miłosierdzia. O materyjalnym rezultacie loteryi, doniesiemy w przyszłym numerze.

POŻAR. W dniu 12 b. m., około 6-éj wieczorem, wszczął się ogień w posesyi Żołądkowskich przy ul. Woroneżskiéj (Szewckiéj) i wkrótce ogarnął sąsiednie posesyje Weisberga i Fuchsa z jednéj, a Mikulskiego z drugiéj strony. Zupełna cisza w powietrzu i dzielny rzeczywiście ratunek, ograniczyły pożar na tych trzech sąsiadujących z sobą posesyjach—nie pozwalając mu nawet pochłonąć wewnętrznych, drewnianych i gontem krytych, zabudowań, choć miejscowość ciasnotą swoją wielce temu była przeciwna. Nie możemy powiedziéć, by ratunek niesionym był systematycznie, jak również nie przypisujemy zasługi stłumienia ognia, na małéj stósunkowo przestrzeni, ochotniczéj straży ogniowéj, świéżo przed tygodniem zawiązanéj dopiéro, — zaznaczyć jednak winniśmy, że ostatni pożar na nowo dowodnie wykazał, jak koniecznym warunkiem jest w podobnych wypadkach jednostajność rozporządzeń, oraz jak wiele zdziałać może dobra wola i energija mieszkańców. Pochwycone szczegóły osobistéj dzielności i odwagi, podały już pisma warszawskie przy doniesieniach o tutejszym pożarze, nie będziemy ich tu więc powtarzać, wyrazimy tylko ogólne nasze przekonanie, że mieszkańcy czynnie dowiedli, iż potrafią jak należy spełnić swój obowiązek.

Wytrwałości zatém niech tylko na przyszłość niebraknie— niech nie wygasa zapał dobréj woli—a niezawodnie zdołamy i zajęcia w ratunku systematycznie rozdzielić i nabyć niezbędnéj wprawy do walki z niszczącym żywiołem. Poznaliśmy czego nam niedostaje, starajmyż się, o ile to od nas zależy, wybitnym przynajmniéj brakom zapobiédz i skutecznie zaradzić.

SZKOŁA PRYWATNA. W przeszłym numerze donosiliśmy że p. Popowski, trwa w zamiarze otworzenia przy swym naukowym zakładzie oddziału przygotowawczego dla chłopców poczynających się uczyć—obecnie zawiadamiamy że od d. 12 b. m. stósowny wykład w tym oddziale już rozpoczęty został.

WYKOPALISKA. We wsi *Kamocinku*, o półtoréj mili od Piotrkowa *odległéj*, w *różnych* czasach znajdowano gliniane popielnice, ze szczątkami wypalonych kości ludzkich. Naczynia, po wydobyciu ich z ziemi, prawie zawsze się rozsypywały, na co niemało zapewne wpływała nieostrożność, albo téż i ciekawość znajdujących je ludzi. Powiadomiony o tych zabytkach prof. Pawiński, w zeszłym tygodniu rozpoczął poszukiwania na miejscu wskazaném, gdzie w przeciągu półtora dnia odkopał *cztéry grobowiska*, odległe jedno od drugiego o kilka łokci. *Pod powierzchnią* ziemi leżały te grobowiska ledwo o kilkanaście *cali*, *ułożone* zaś były z kamienia gładkiego, niby ciosanego; każde z nich zapełnione ziemią, a w dwóch oprócz tego po trzy gliniane naczynia,— większe, niby garnek széroki, z resztkami kości przepalonych, drugie średniéj wielkości, również gliniane i wreszcie maluczki na miseczce garnuszek; ziemia zapełniała nietylko dwa ostatnie, lecz i we większém zmięszana była pospołu z kośćmi. Dwa drugie grobowiska oprócz ziemi, nic w sobie nie zawiérały, lecz za to obok jednego, wykopany został szkielet, zęby i szczęka którego przechowały się doskonale, zaś obok drugiego, kości dwóch osób, z małymi wprawdzie brakami. U *nóg* jednego z tych ostatnich szkieletów znaleziono *małą* urnę glinianą, a u *nóg* drugiego, cztéry obrączki z żelaznego drutu, znać do *ozdób* kobiécych należące i również żelazny nożyk albo osadę strzały. W urnie piérwszéj, wraz z kośćmi, były bronzu kawałki, a jedna ze *znalezionych czaszek, niby* ukośnie, *zdała* się *być* przecięta, przytém ułożenie dwóch szkie-

KRONIKA MIEJSCOWA.

Napisać kronikę małego miasta, to chyba nielada zadanie, a jednakże i my żyjemy i żyć musimy coraz to inaczéj, jakkolwiek napozór większość objawów da się w kilku stereotypowych zamknąć wyrazach: wstajemy, jemy, czemsiś zajmujemy i znów kładziemy, nawet gramy bardzo mało, bo towarzysze broni jakoś niesforni, a i wieczory jeszcze niedługie; z racyi tychże krótkich wieczorów, zapewne i książkom dokuczamy niewiele, boć je w księgarniach na jednych i tych samych wciąż obaczyć można miejscach. Z tém wszystkiém jednakże i u nas po lecie ruch się znowu rozpoczął,—przynajmniéj powinien, bo i szkoły się otwarły i pensyje żyć zaczynają, nawet z „powietrza“ już wiele osób wróciło. Z za gór i lasów zjeżdżamy się powoli do naszych siedzib, jedynie chyba po to, by podczas zimy, o ile da się, życie nieregularne prowadząc, trawiąc je na nocach bezsennych lub w zamknięciu hermetyczném, znowu na wiosnę o wodach, o wyeździe za morze, na *powietrze*, jak lud powiada, pomyśléć i obcym resztki wywozić grosiwa, tak wszędzie potrzebnego w miejscu. Dotychczas nawet nasze oba ogródki są senne, opróżnione widocznie, jak gdyby opłacanie, od niejakiego czasu, muzyki ogródkowéj, mogło część mieszkańców zniewolić do szukania gdzieindziéj w wolnych chwilach haustów lepszego powietrza. Powiadają, że teraz bliższe budki kolejowe, uczęszczane są licznie, że tam nawet rażne urządzają się zabawy, więc niéma nic złego, coby nie wyszło na dobre, bo téż na polu i dla naszych bezkrwistych dzieci więcéj się znajdzie zapasów życiowych, Czas tylko i deszcze zmuszą do odwrotu i to prędkiego, bo się już naprawdę ochładza.

Monotonną przedtém ciszę, przerwały opowiadania o kilku skandalikach, z rubasznéj swawoli wynikłych i o krwawym uścisku wyznawców Bachusa, w przybytku tegoż bożka odbytém. Złośliwi dodawali, że gdzie grzéch, tam i pokuta, a po pokucie chyba i wybaczenie nie będzie dalekiém. Czyżby tak zawsze być miało, ujrzymy niedługo, jakieśmy niedawno widzieli ostatnią loteryją fantową. Usunięcie téj, na klasę nieoświeconą niekorzystnie wpływającéj zabawy— i nas zapewne zmusi do zastósowania sposobów więcéj ludzkich, racyjonalniejszych w obmyśleniu utrzymania naszych starców i kalék, a wtenczas może pozbędziemy się *biédnych-oszustów*, do pracy zdolnych, co gdyby nastąpiło, mielibyśmy prawo dać sobie świadectwo na pewien stopień dojrzałości. A z *maturą* w ręku, - o szczęśliwi jéj posiadacze!—pamiętacie zapewne, jak się to inaczéj na świat spogląda, przynajmniéj w chwili, gdy *matura* jeszcze świéża, ile to chęci, zamiarów, ile wiary w siebie naraz przybywa! Z *maturą* idzie się przebojem naprzeciw wszelkim trudnościom, aż.... aż do czasu, gdy się do walki życiowéj obok najserdeczniejszych stanie. Tu *pas*; tu ci kochanku przy serdecznym uścisku i główkę nieraz nadkręcą, bo *amicissimi* w każdym znajdą się zawodzie.

Skoro o maturze mowa, to i szkoła łatwo się na myśl nasuwa. Przed paru tygodniami koledzy i życzliwi żegnali jedną z wydatnych jednostek miejscowych, nauczyciela tutejszego gimnazyjum — p. Plenkiewicza. Tydzień i Rocznik straciły w nim czynnego współpracownika, a towarzystwo tutejsze zacnego i prawego członka, to téż pożegnanie jego wyróżniono z pomiędzy innych, kilku należnémi słowy oceny ubywającego. Po p. Plenkiewiczu opuszczał miasto b. dyrektor gimnazyjum, przenosząc się również jak i piérwszy, na posadę do Warszawy. Grono nauczycieli żegnało zwierzchnika składkowym objadem.

Rozstając się ze szkołą, nie możemy niedotknąć sprawy bardzo ważnéj, przez Tydzień niedawno poruszanéj, sprawy spekulantów na „stancyje uczniowskie,“ czyli inaczéj na przyszły charakter, a nieraz i zdrowie młodzieży. Jeżeli tylko ten rodzaj plagi jest u nas, to wszelkie środki na jéj zniszczenie powinnyby być przedsięwziętymi. Najskuteczniejszém chybaby było w tym celu działanie rady pedagogicznéj i władzy szkolnéj; wypada tylko w takim razie być nieugiętym na wszelkie, a wszelkie ze strony łaknących, podjazdy. Dobrze pamiętamy z naszych czasów szkolnych zdarzenie, jak to pewien, szczwany jak lis jegomość, ze swych wad brudnych starszéj młodzieży nawet znany, długo bezskutecznie, gdzie należy, na uczniów polował. Gdy prośby na niczém spełzały, postanowił do serc zatwardziałych kieliszkiem i zdrowiem przemówić; wybrał ku temu zabawę uczniowską i stanął na placu boju z taborem odpowiednim. Nie w ciemię bity dyrektor szkoły, taką mu dał wtedy odprawę, że pewno nadługo musiał na téj drodze zaniechać wszelkich kroków niefortunny spekulant.

Oddalony to wprawdzie przykład, ale jakoś się mimowolnie nasunął przy myśli o wszelkiego rodzaju do serc miększych, lub próżniejszych podjazdach i o wyrachowanych i zręcznych hypokryzyjach wszelkiego gatunku.

Otóż przyszło nam na myśl, jakto przed kilkunastu laty złoczyńca w celu rabunku, wymordował rodzinę z pięciu osób złożoną: matki, trojga dzieci i służącéj. Morderstwo było dokonane toporem i na chybił-trafił. Widok poćwiertowanych ciał, doprawdy jatki wyobrażał. Jedna ofiara z rozciętą głową i wysadzonym mózgiem, żyła jeszcze dobę. Przerażenie w miasteczku było natenczas ciężkie, ofiary grzebano przy wielkim ludzi natłoku, a przy pogrzebie złoczyńca z czelną, do okoliczności zastósowaną postawą, pomimo, że był innego, niż ofiary mordu, wyznania, niósł chorągiew. Snać jednak z grubą zbrodnią więcéj jest oswojony człowiek, niż z hypokryzyją do tyla bezczelną, stokroć bowiem silniejsze zawrzało oburzenie, niż to najczęściéj bywa, gdy, po dniach trzech pogrzebu, morderca był ujęty; kłam, nędzna hypokryzyja, spotęgowały znaczenie zbrodni. Najwyższa, w tych razach kara, pod naciskiem opinii, szybko była wymierzoną, męczarni zbrodniarza knutowanego nikt z tłumu nie odczuwał. Fakt ten, wspólnie z wielu innymi, stwierdza, że lud ze zdrowym rozsądkiem umié uszanować swe zasady moralne—i biada hypokrytom, gdy się ich niecne czyny ujawnią; tam przynajmniéj, gdzie jaka taka jest opinija. Ba, mała rzecz! Opinija uzasadniona. Nieco łatwiéj o trochę zapału, nawet

letów nie było jednakowém, głowa jednego zwrócona była ku zachodowi, drugiego ku wschodowi.

Poszukiwania profesor Pawiński prowadzi daléj, po ukończeniu których, opracowany przez siebie naukowo, poda we właściwym czasie rezultat. Zasyłając do miejscowego pisma obecną pobieżną notatkę, dodamy, że wzgórze, gdzie wspomnione znaleziono grobowiska, panuje nad obszérna łąką, przytykającą do małéj rzeczółki. Grabówką zwanéj. Nie uprzedzając szczegółowych wniosków profesora P., pozwalam sobie jeszcze jednéj uwagi, z samych szczątków się nastręczającéj: że kości znalezione muszą należéć do epoki późniejszéj, co najmniéj do téj, którą zowją żelazną.

K. Krzysztoporski.

KORESPONDENCYJE TYGODNIA.

Z Częstochowy.

Kilkaset kompanij przybyłych na dzień 8 września, zgromadziło z rozlicznych stron w mury naszego grodu około 60000 pobożnych.

Cała ta pielgrzymia rzesza zaległa okolice klasztoru, zasiadłszy wieńcem u podnóża murów. Wieczorna chwila przy świetle księżyca i dość pięknem oświetleniu klasztornego gmachu, tworzyła uroczy obraz— iście jeden z tysiąca i jednéj nocy. Wśród śpiéwów nabożnych każdéj kompanii, skupionéj w oddzielnéj gromadce, dźwięki dolatujące ucha, wywoływały jakieś nieokreślone, dziwne wrażenie, niepozbawione jednak pewnéj przejmującéj harmonii.

Być może, iż pod wpływem budzących się uczuć, zlewając te głosy w jednobrzmiący akord—akord uniesień serca wyobraźnia różnorodne te głosy, łączyła w jedno westchnienie tysiąca tysięcy pobożnych.

Słowem, odpust był świetnym, bo dawno już dzień 8 września nie zgromadził tylu pobożnych pielgrzymów, co w roku bieżącym.

W wigiliję uroczystości, jako w dzień galowy, przypadająca iluminacyja w mieście—całemu temu obrazkowi niemało dodała urozmaicenia, a muzyka przybywających kompanij pewną nawet estetyczną cechę owemu wieczorowi nadawała. Wyszczególniała się mianowicie kapela z Rokitna z włoszczowskiego powiatu, złożona z kilkunastu, odzianych w białe sukmany i przystrojonych w wiejskie kapelusze o szérokich skrzydłach, chłopków, których grze parę godzin przysłuchiwaliśmy się w alei miasta. Dzielna i nader harmonijna gra wieśniaków, z którą orkiestra klasztorna i równać się nie może, zachwycała setki przybyłych na odpust, a zarazem utwierdzała w nas przekonanie, jak to wiele może znaczyć u wiejskiego naszego ludu, prawdziwie pasterski głos i rada ks. ks. proboszczów.

Jak lat poprzednich, tak i roku bieżącego na obecny odpust zawitało k'nam dwóch synów dalekiego wschodu—z chaldejskiéj krainy, starzec pięćdziesięcioletni i krewniak jego lat trzydzieści kilka liczący, którzy przez Tryjest, a następnie Wiedeń i Kraków, przybyli do naszego miasta.

Na stołach umieszczonych zaraz przy wejściu w trzecią klasztorną bramę, rozłożyli oni różnorodne przedmioty. Były tam pierścionki, brosze, medaliony, krzyżyki z perłowéj macicy, daléj paciorki z różanego głogu, różne wyroby z oliwnego drzewa, fotografije grobu Chrystusa, tudzież widoki z okolic Jerozolimy.

Pomiędzy mnóstwem religijnych przedmiotów wschodniego wyrobu, widziéć było można i pięknie wyrobione cygarniczki z perłowéj macicy, girlandy lub krzyżyki układane z kwiatów nadjordańskiéj flory, a wreszcie pączki tak zwanéj róży jerychońskiéj, którą piérwszy raz w tym roku przywieźli ze sobą.

Sucha ta, bez liści, w kłębek zwinięta roślina, znana podróżnikom lub zwiedzającym ostatnią wystawę wiedeńską, po włożeniu do wody rozwijająca się zupełnie, niemałéj ciekawości była tu przedmiotem. Sztukę sprzedawano, tak jak na wystawie, po 20 groszy.

Przybysze owi, po skończonym odpuście opuszczą nasze miasto, udając się przez Warszawę i cesarstwo do rodzinnéj ziemi, zabiérając z sobą wiele okazów częstochowskiego przemysłu. Korzyści lat poprzednich zachęciły ich tak dalece, iż na przyszłe lato z większym zasobem różnorodnego towaru wschodniéj kramarszczyzny zawiną pod klasztorne mury. Widzieliśmy jak bardzo wielu włościjan z różnych stron kraju, dość licznie otaczało ich stoły, a żaden nie odchodził z próżnémi rękoma; ba! byli nawet i tacy, którzy kupowali różę jerychońską—a na rzucone sobie pytanie: „na co to kupują,“ — odpowiadali z uśmiéchem: — „iż oprócz tego, że i to pamiątka, ciekawi są bardzo, czy się téż rozwinie, jak to greki mówią.“ Lud prosty bowiem kupców tych grekami zowie.

W zgiełku odpustowéj uroczystości nie obyło się bez paru wydarzeń, dowodzących potrzeby większéj czujności ze strony pobożnych pątników. Nie mówiąc już o złych bardzo skutkach, wynikających z nadmiernego tłoku w miejscach zbyt ścieśnionych, skąd rozpaczliwe głosy wymownie świadczyły o stanie przyciśnionych; wypróżnianie kieszeń pobożnych pielgrzymów główną odgrywało rolę. Tu pewnéj pani zrabowano portmonetkę z dość znaczną kwotą piéniędzy, tam książki, czapki i chustki nikły jak kamfora, tu znów nadobnéj warszawiance wyciągnięto woreczek z paru rublami i biletem spacerowego pociągu. Szczęściem, iż trafiła na dobroczynne serca, z pomocą których kupiwszy odpowiedni bilet, tymże samym pociągiem wyruszyła do domu, inaczéj bowiem, chyba per pedes apostolorum razem z pieszą kompaniją, przyszłoby jéj wędrować do miłéj Warszawki.

Nazajutrz mimo ubytku dość znacznéj cyfry przybyszów i wyruszenia trzech spacerowych pociągów z niesfornémi dziećmi Warszawy, nowy napływ pobożnych z każdą niemal chwilą powiększał i tak już niemały zastęp pielgrzymów. I należy się spodziéwać, iż przez cało-tygodniowy ten odpust do 200,000 pątników odwiedzi nasze miasto. To téż trudno wyobrazić sobie radość, ożywiającą serca naszych kramarzy, na widok licznie ściągających, z rozmaitych stron miasta pod klasztorne mury, tłumów, jakie nie omijają nigdy kramarskich stołów, na których między innémi ukazały się w r. b. już i fotografije i litografije obrazu Najświętszéj Maryi Panny Kodeńskiéj, obie nadzwyczaj licho wykonane.

Po streszczeniu odpustowych wrażeń z bieżących wypadków donoszę wam: że niejaki Aleksander Trąbski, cierpiący pomięszanie zmysłów, a wałęsający się bez żadnego dozoru po naszym powiecie, rozmyślnie podłożył ogień pod gospodarcze zabudowania Antoniego Ucieklaka, włościjanina we wsi Poniku w gminie Potok złoty; wartość ubezpieczonych strat rs. 100 wynosi.

Daléj, że zbrodnia dzieciobójstwa staje na porządku dziennym. Bo znowu w d. 2 b. m., w fosach klasztoru jasnogórskiego, znaleziono paru-tygodniowe dziécię, cudnéj urody chłopczyka, zbrodniczą ręką wyrodnéj matki pozbawionego życia. Doprawdy, że trudno było powstrzymać cisnącą się do oka łzę na widok téj niewinnéj istotki, po to tylko na świat przybyłéj, aby się stać ofiarą zbrodni. Dość liczne tego rodzaju fakty powinnyby pobudzić nas do założenia przytułku dla podobnych nieszczęśliwych istot? Być może, że za grosz ofiarny chrześcijańskich matek i ojców, niejednéj dziecinie zdołalibyśmy ocalić życie.

?

Obwieszczenie.

Dyrektor petrokowskiego męzkiego gimnazyjnm, podaje do publicznéj wiadomości, że JW. Kurator zarządzający warszawskim okręgiem naukowym, reskryptem z dnia 3 września r. b. Nr. 7710, zezwolił na otworzenie w tutejszém gimnazyjum drugiego oddziału klasy I od d. 1 września r. b. na rachunek skarbu. Prośby zatém o przyjęcie do téjże

o tak zwane uniesienia serca, niż o hart i trwałość w przekonaniu.

Zwracając myśl naszą w zupełnie inną, lepszą życia stronę, może sobie przypomnimy, jak przed kilku miesiącami, urzędnicy jednego z biur tutejszych, złożyli tysiąc paręset rubli, z celem, ażeby procent od téj sumy szedł na zasiłek dla dzieci jednego z potrzebniejszych tegoż biura urzędników, przy pobiéraniu nauk w gimnazyjum miejscowém. Stypendyjum owe obecnie zostało zatwierdzoném, z nadaniem mu nazwy „stypendyjum urzędników“ tegoż bióra, a dożywotnia, do osoby przywiązana, rozporządzalność, pozostawiona zwierzchnikowi biura, podczas imienin którego powstała składka powyższa.

Niepodobieństwem jest przemilczéć o objawie, jaki się przy ostatnim uwidomił pożarze. Cząstka ludności miejscowéj, jaka się na ochotników do straży ogniowéj dopiéro tylko podała, powleczona nimbusem współobywatelskości, spełniła swoje zadanie z energiją i zapomnieniem siebie. Gdyby nie taka chętna pomoc, pomimo nawet ciszy, rozruszany żywioł nie poprzestałby na niewielkich stósunkowo ofiarach. Kto chce naturę i skuteczność ratunku ocenić, dość jest przypatrzéć się pozostałościom po pożarze. Ocalały stare drewniane klatki z domem złączone, nie mówiąc o domu, którego się spaliła tylko część dachu. Przy tym pożarze, wiele bardzo dzieci i co szczególna, bo i żydowskich nawet, pracowicie i przez cały czas ognia, dostarczało wody beczkami. Nie obeszło się jednak i przy téj klęsce bez dowodów ciężkiego poniżenia — kradzieże w czasie zamięszania i tu miały miejsce, otwiérano nawet komody i z nich co lepszego usuwano. Taki to już układ życia ludzkiego—obok szczytnego czynu, tuż się przesunie najniższa, najbrudniejsza nikczemność, jak gdyby bez tego, czyn wzniosły, na wartości miał tracić.

G.

KWIAT PAPROCI

ZE WSPOMNIEŃ FILOLOGA

SKREŚLIŁ

Aleksander M. Jawornicki.

(Dalszy ciąg).

Poranek był prześliczny.

Słońce wznosiło się na czystém lazurowém niebie, łamiąc złote swe promienie w tęczowe blaski w kroplach porannéj rosy, która jakby brylantami pokrywała drzewa i zieloną murawę. O parę kroków od miejsca, na którém leżałem, stała taż sama dziewica, którą we śnie widziałem; też same blond włosy, czarne oczy i uśmiéch figlarny na ustach. Ubrana była w czarną aksamitną amazonkę, w jednéj ręce trzymała szpicrutę, w drugiéj liść paproci świéżo co zerwany, na którym jeszcze drżała kropelka rosy. Przypomniałem sobie wtedy rozkwitający pączek i pomyślałem, że to może jedna ze staro-germańskich elfin, które w kielichach wonnych kwiatów mieszkają i słodką rosą ich żyją. W dali jednakże o kilkanaście kroków, ujrzałem dwa wierzchowe konie, a na jednym z nich siedzącą drugą amazonkę, starszą znacznie od mojéj elfiny. — Teraz w umyśle moim znikło już wątpliwość co do jéj ziemskiego pochodzenia. Jednakże z powodu méj niezwykłéj sytuacyi, musiałem miéć minę dość zakłopotaną, gdyż moja nimfa spojrzawszy na mnie, znowu głośno się roześmiała. Trzeba było coś powiedziéć, gdyż czułem, że zaczynam być śmieszny. Porwałem więc żywo za kapelusz, skłoniłem się i rzekłem to, co mogło być najmniéj stósowném w téj chwili:

— Bardzo panią przepraszam.

Spostrzegłem, że na te słowa złośliwy uśmieszek przeleciał po jéj usteczkach, ja zaś poczułem, żem się mocno zarumienił, skłoniwszy jednak wdzięcznie główką, rzekła:

— Doprawdy, to nie pan nas, ale my pana winnyśmy przeprosić, żeśmy sen tak miły mu przerwały.

Zdziwiłem się niepomiernie, skąd mogła wiedziéć że miałem sen miły.

— O pani!—rzekłem,— najmilsze sny są te, które w rzeczywistość mogą się zamienić, a ten właśnie który miałem, pragnę by był jednym z takich.

— Odgaduję treść jego. — Musiałeś pan marzyć o zaklętych skarbach, o kwiecie paproci. Zresztą niby w tém nie było dziwnego, boć to dziś była noc ś-to-jańska. A może pan umyślnie przybyłeś tu, chcąc zerwać ten kwiat cudowny, gdy o północnéj dobie rozkwitnie? Wszak prawda, że tak było?

— Przeciwnie pani, moja obecność w tym lesie jest czysto wypadkową:— wczoraj wyszedłem na przechadzkę, a że lasy te są mi zupełnie nieznane, najprozaiczniéj więc zbłądziłem.

— Czy pan nie w téj okolicy mieszka?—spytała zdziwiona.

— Nie, czego jednak dzisiaj najmocniéj żałuję i pozwolą mi panie, że w braku kogoś, coby mnie im przedstawił, sam się zarekomenduję. Jestem Adolf K.—rzekłem, kłaniając się powtórnie rusałce i téj starszéj pani, która, podczas téj rozmowy, do nas się zbliżyła.

— Ja zaś nazywam się Angela, a to moja ciocia—rzekła z prześlicznym dygiem.

Angela! cudowne imię, pomyślałem sobie, jakby umyślnie dla niéj stworzone, ależ Angela to nie jest nazwisko, widocznie chce zachować incognito.

— Pan Adolf K., więc pan jesteś synowcem pana Stanisława, naszego dobrego znajomego?—spytała mię ciocia.

— Tak pani i obecnie bawię u niego.

— Niechże więc pan pozwoli, że go raz jeszcze przeproszę za niedyskrecyją Angeli — rzekła podając mi rękę.

— Ależ cioteczko, pan Adolf nic a nic się nie gniéwa. Wszak prawda, powiédzże pan, bo doprawdy, ciocia gotowa sobie pomyśléć, że pan jesteś śmiertelnie na nas obrażony?

Ja obrażonym! Ja mógłbym być zagniéwanym,

klasy nowo-wstępujących uczniów, składać można w dniach 8 i 9 (20 i 21 września) r. b.,—egzamina zaś wstępne odbywać się będą w dniu 9, 10 i 11 (21, 22 i 23 września) r. b., każdodziennie od god. 5-éj do 8-éj popołudniu.

OGŁOSZENIA.

Mam honor zawiadomić Szanowną Publiczność, iż do mego handlu SZKŁA, FAJANSU, PORCELANY i LAMP, istniejącego oddawna w domu ss-rów Salisa, sprowadziłem wielki zapas SZKŁA TAFLOWEGO, LAGROWEGO i LUSTRZANEGO,— i sprzedaję takowe po cenach fabrycznych. Polecam również wybór GZEMSÓW do FIRANEK w różnych kolorach LAKIEROWANYCH lub POZŁACANYCH, LISTWY POZŁACANE NA RAMKI DO OBRAZÓW i OBRAZKÓW, LISTWY do OBIĆ PAPIEROWYCH, RAMKI do FOTOGRAFIJ RZEŹBIONE, z najlepszych fabryk warszawskich i t. p. i t. p.

Przyczém nadmieniam że przyjmuję WYKONANIE WSZELKICH ROBÓT SZKLARSKICH, oraz REPERACYJ i PRZEROBIENIA LAMP — i roboty te jak najakuratniéj i za umiarkowaną cenę uskuteczniam.

Polecając skład mój pamięci Szanownéj Publiczności mam nadzieję, że stale jak dotąd względami Swémi zaszczycać mię raczy.

(12—1) Szlama Madenberg.

MEBLE GIĘTE

wyrabiane w dobrach hr. Poletylly.

Są zawsze do nabycia w składzie szkła i porcelany J. Dessau'a, w domu W. Michaleckiego.

(3—1)

DO WSPÓLNÉJ NAUKI z panienką, pobiérającą lekcyje wyższe od osób specyjalnie przedmiota wykładających, poszukuje się KOLEŻANKA pod bardzo przystępnemi warunkami. Ktoby sobie życzył, może się ułożyć o zupełne umieszczenie panienki w domu. Tamże żądane są lekcyje języka rossyjskiego i arytmetyki. Wiadomość w sklepie nowości Klementyny S. w domu W-go Spana.

MIESZKANIE

na parterze przy ulicy Moskiewskiéj (Bykowskie Przedmieście) składające się z 5 pokojów kuchni śpiżarni i garderoby, mające prócz innych dogodności oddzielne podwórze jest do wynajęcia. Wiadomość u R. Wysockiego. (2—1)

WINOGRONA BADEŃSKIE KURACYJNE

nadchodzą ciągle świéże do składu **K. Zaleskiego** w Petrokowie. Osoby potrzebujące takowych na kuracyją, raczą wcześnie uczynić zamówienia.
(4—2)

Wzbrania się **POLOWAĆ** na gruntach wsi Belzatka i Rokszyce, pod karą utraty psa i broni.
(4—2) *Gogolewski.*

Pięć włók ziemi, bez budynków, jest do sprzedania, pod miastem Ujazdem, mila od stacyi kolei żel. Rokiciny, przy zwirówce, po cenie około rs. (6000 złp.) za włókę. Bliższa wiadomość u właścicelki w Bukowie lub u W-go Rojka, regenta w Petrokowie. (3—3)

LOKALE

od 1 października b. r. są do wynajęcia w domu Nr. 100 przy ulicy Sławiańskiéj (Krakowskie przedmieście). (2—1)

Potrzebny jest *zaraz* praktykant do zakładów górniczo-hutniczych *w Mijaczewie.* — Reflektanci zgłaszać się zechcą wprost do zarządu fabryki.— Stacyja D. Ż. W. W. Myszków.
(6—6)

UBEZPIECZENIA

Na zasadzie upoważnienia Generalnéj Reprezentacyi Towarzystwa Ubezpieczeń „*Jakor*" z dnia 5 (17) sierpnia r. b. za № 361 podaję do powszechnéj wiadomości że przyjmuję ubezpieczenia *ogniowe*—rolne, fabryczne, miejskie i w osadach;—*gradowe; kapitałów pośmiertnych* i z całego zakresu ubezpieczeń *życiowych;* oraz *transportów* lądowych i wodnych.

Za właściwe uważam objaśnić: że Towarzystwo „Jakor" połączone przez stósunek reasekuracyjny z „Towarzystwem Wzajemném Ubezpieczeń" w Krakowie przedstawia najkorzystniejsze dla ubezpieczających się warunki i część składki po ukończonych rachunkach rocznych ubezpieczonym zwraca.

Szanowni P. P. Interesanci zgłaszać się raczą do domu W-go Brendla na rogu Alei— wejście od podwórza, tam gdzie „Redakcyja Tygodnia"

Antoni Porębski.

Ktoby sobie życzył brać lekcyje muzyki lub języków obcych od osoby wysoko wykształconéj i posiadającéj najchlubniejsze świadectwa, raczy złożyć swój adres w magazynie pani Klementyny S., w domu Spana. (4—4)

Do sprzedania 260 morgów nowiu po wyciętym lesie, w tém około 30 mórg łąk, dających 400 centnarów siana doskonałego, las jeszcze wystarczy na budynki, książka hypoteczna oddzielna, 10 wiorst od stacyi Kłomnice. Bliższa wiadomość w redakcyi Tygodnia. (6—6)

T. Chodźko fotograf, zatrzymał się w tutejszém mieście w celu przyjmowania zamówień na *heliominiatury.*

Osoby interesowane zechcą się zgłaszać do *księgarni L. Chodźki, gdzie także można obejrzéć* wykonane portrety.

patrząc na tę śliczną dziéwczynę i na te oczy, co z takim lubym, na poły żałosnym, na poły figlarnym wyrazem na mnie spoglądały, że aż mi się w piersiach gorąco robiło! Czułem jednak zarazem, że im dłużéj wzrok ten na mnie spoczywał, tém więcéj mnie mięszał, i mnie, com z kobiétami nigdy nie był bardzo śmiałym, odbiérał do reszty odwagę. W duszy już byłem zły na siebie, że tak stoję przed nią, jak uczeń przed profesosem, gdy lekcyi nie umié. Postanowiłem więc być śmiałym, chociażby to nie wiém ile miało mię kosztować. Pod wpływem tego hereicznego postanowienia, rzekłem z pewną jednak obawą:

— Obrażony nie jestem, raczéj zdumiony,

— Doprawdy, i czémże to?

— Widziałem to, czego może żaden z śmiertelnych nigdy nie oglądał—kwiat paproci.

— A więc zgadłam, lecz czemużeś go pan nie zerwał i pozwolił mu zniknąć? Jakież moce piekielne ukryły go i pozbawiły pana szczęścia?

— Piekielne moce tą razą były dla mnie bardzo łaskawe, bo oto mój kwiat stoi przedemną.

Wzrok mój, gdym to mówił, musiał być bardzo wyrazistym, bo Angela skłoniła swą główkę na piersi i rumieniec okrasił jéj policzki, ja zaś na dobre przestraszyłem się mojéj śmiałości, lecz niestety, było już zapóźno cofać się z téj drogi, na którą tak nieopatrznie wstąpiłem.

Pomięszanie Angeli trwało przelotną tylko chwilkę, podniosła na mnie śmiało oczy i spytała:

— Jakżeż to było, proszę mi opowiedziéć, to musi być bardzo ciekawe!

Naturalnie, że zacząwszy raz o tém, należało już wszystko wypowiedziéć. Więc, o ile wymowa moja na to pozwalała, zacząłem opowiadać obrazowo dzieje dnia wczorajszego: jak zabłądziłem w lesie, jak ułożyłem się do snu pod dębem, następnie cały mój sen o paproci, pomijając, jak się to łatwo domyśléć, drażliwsze jego ustępy z Bonawenturą, Mordką i Paskudnickim. Wmiarę jak opowiadałem, twarzyczka jéj coraz bardziéj się ożywiała, a gdy skończyłem, klasnęła w rączki i śmiejąc się, zawołała:

— Jakże się ten sen doskonale panu wyśnił. Dzięki temu kwiatkowi, a raczéj mnie, wyjdziesz pan wkrótce z téj puszczy, w któréj musiałbyś długo jeszcze błądzić, nimbyś na dobrą drogę natrafił i wrócisz do domu, gdzie stryjaszek Stanisław z wielkim niepokojem musi cię oczekiwać. A co, czy kwiatek nie przyniósł panu szczęścia, o którém mówi podanie!

Przyznam się, że gdyby tylko na tém całe szczęście, przywiązane do kwiatu paproci, się ograniczało, nie byłoby jeszcze nic tak nadzwyczaj wielkiego, aby dla tego aż wyzywać do walki szatana, który go strzeże przed ludźmi.

Jednakże pomimo tego wewnętrznego przekonania, musiałem przyznać głośno, że miała zupełną słuszność.

— A więc cioteczko— mówiła daléj,— nie traćmy czasu, będziemy do końca dobrymi wróżkami i wyprowadzimy zbłąkanego z tych zaczarowanych lasów, w których, pomimo ich piękności, pewno już tęskni za ludźmi.

I mówiąc to, zbliżyła się do konia, ująwszy go za cugle. Odgadując jéj zamiar, podbiegłem, podałem jéj ramię, a ona lekko, ledwie dotykając się stopą strzemienia, wskoczyła na siodło i wdzięczném skinieniem główki podziękowała mi za pomoc. Koń, poczuwszy na sobie jeźdźca, wspiął się na przednie łapy i dał kilka susów w bok, jakby się od niego chciał uwolnić.

Ciotka krzyknęła przestraszona. Angela jednak dosiedziała dzielnie, a zwierzę, czując się kierowane pewną rękę, stanęło osadzone w miejscu, żując niecierpliwie wędzidło.

— Angelo, Angelo! zawsze ci mówię, że będziesz miała kiedy wypadek z tym koniem, a nigdy nie chcesz mię słuchać, i teraz o mało co nie zrzucił cię.

— Niech się cioteczka nic a nic nie boi, mój Alf mię zna i wié, że ze mną niémożna żartować, jednakże — rzekła po chwili — jedźmy już, zaczyna się trochę nie cierpliwić.

Konie ruszyły wolnego stępa, ja zaś umieściwszy się przy boku mojéj rusałki, pieszo postępowałem. Opuściwszy polankę, wjechaliśmy na wązką ścieżynkę, zagłębiającą się w zarośla. Konie stąpały cicho po miękkim mchu i murawie, z pośród któréj, gdzie niegdzie, wychylały swe główki i lub rumieniły się czerwone jagody, na których połyskiwała jeszcze gdzie niegdzie poranna rosa. Nad nami z obu stron drogi wznosiły się olbrzymie jodły i sosny, tworząc z gałęzi swych zielone sklepienie, pod którém postępowaliśmy, gwarząc wesoło i śmiejąc się, gdy jaka gałązka musnęła nas od czasu do czasu po twarzy. Mówiliśmy o Warszawie, w któréj Angela czas jakiś mieszkała, to o balach, koncertach, teatrze, o wiejskich przyjemnościach, czasami do rozmowy naszéj ciotka wtrąciła jakieś słówko, a rozmawiając tak szybko czas mi uleciał, że ani się spostrzegłem jak wyjechaliśmy z lasu na obszérny gościniec. Zobaczywszy przed sobą pole i drogę, dobrze mi znajomą, która wiodła do majątku stryjaszka, żal mi się zrobiło w duszy, przewidując blizki moment rozstania, że się ten las już skończył, gdy ja byłbym z ochotą w jéj towarzystwie, cały dzień pozostał.

Jak przewidywałem, tak się téż i stało.

Na drodze panie zatrzymały konie i Angela, zwróciwszy się do mnie, rzekła ze swym prześlicznym uśmiéchem:

— Teraz moje posłannictwo, jako dobréj wróżki, już się skończyło, wyprowadziliśmy pana na prostą drogę, na któréj już nie zabłądzisz.

— A panie?—spytałem.

— Nasza droga w przeciwną wiedzie stronę. Pan pójdzie w prawo, my w lewo.

Chciałem zapytać jéj, czy nigdy te drogi nie zejdą się razem, ale na to zapytanie, śmiałości mi już zabrakło i słowa na ustach zamarły. Ścisnąłem tylko w milczeniu podaną mi rączkę, któréj lekkie drżenie uczułem. Ukłoniłem się ciotce, a po chwili rozległ się tentent podków, tuman kurzu wzniósł się z pod kopyt i zasłonił Angelę przed moim wzrokiem.

Stałem nieruchomy i patrzyłem. Czasami zdawało mi się, że w obłoku pyłu widzę zdala migające się białe piórko od kapelusza lub jasny splot włosów, po chwili jednak, tuman, pióro, jasne warkocze znikły, — zostałem się sam, myśli moja tylko gdzieś daleko za Angelą goniła. *(d. c. d.)*

W drukarni F. Bełchatowskiego w Petrokowie. Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **Antoni Porębski.**